Rok IV.

Nr. 30. Nr. 30.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 25 lipca 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

O stanowisku człowieka w stosunku do istot ustrojowych.

Nieświadomość jest matką wątpienia,
a to zradza — bezreligijność.

W ostatnich czasach zabałamuciło płytsze umysły pytanie, czy człowiek nie należy do rodzaju zwierząt? W artykule naszym „Darwin i Darwiniści" (Nr. 14) potępiliśmy to twierdzenie jako nie naukowe, nie wyłuszczając powodów. Dziś zastanowimy się nad tém, czemu rzeczywiście człowiek nie należy do zwierząt?

Aż do najnowszych czasów, t. j. aż do zeszłego wieku, żadnemu filozofowi nie przyszło na myśl, ażeby człowieka stawić na równi ze zwierzętami. Owszém najstarsze Chińczyków, Indów, Persów, Hebrajczyków podania i dzieła, aż do osławionego de La Mettrie, który w 1748 roku wydał swą ohydną xiążkę: „Człowiek silnia" (machine), — wszystkie przypisywały człowiekowi taką wyższość nad zwierzętami, że przedstawiały go jako zupełnie odrębny twór, i to twór najdoskonalszy, najpóźniejszy, — na podobieństwo samego Boga lub Bogów ukształcony. Po tym nie z nauki ale z przewrotności słynnym autorze, — z ludzi uczonych pierwszym był Karól Linneusz, który się odważył w swém dziele: „Mantissa plantarum altera", w 1771 r. wydanéj, w dodatku: Regni animalis appendix, str. 521, policzyć małpę Homo Lar, Gibbona, do rodzaju ludzkiego. W przedmowie do „Fauna suecica" powtarza: „że pomiędzy małpą a człowiekiem dotąd nie zdołałem znaleźć żadnéj różnicy." Przy rozgłosie sławy tego wielkiego męża — nabrała niezwykłego rozgłosu ta powierzchowna myśl, jak i inna bardzo zgubna dla ludu, którego najliczniejszą, ubogą, z pracy rąk żyjącą część porównał do traw, — „które im więcéj się marnuje, tém więcéj się plenią." Za Linneuszem poszli Moscati, Jan Jakób Rousseau, Lamarck, Virey, Bory de Saint Vincent, aż do Haeckel'a. Owen (On the characters of the class Mammalia, 1837, str. 20) w przypisku nieśmiało oświadczył: „że różnica pomiędzy człowiekiem a małpą jest skałą, — probierczym kamieniem dla anatomów", — a w swéj „Odontography" 1840, str. 452, wyraźnie stawia różnicę, że: „u ludzi zęby są styczne i równéj wysokości, — gdy u małp kły są większe, a rząd zębów przerwany", co już zauważył Blumenbach. Z tego téż powodu G. Cuvier oddzielił rodzaj ludzki do rzędu dwurękowców (bimanes), co mu Bory de Saint Vincent zarzuca, — a w swéj klasyfikacji stawia do tego samego rzędu orangutana.

Lubo dla przeszłowiecznych i tegoczesnych jeszcze naturalistów i filozofów — skład zębów był stanowczym znamieniem, — co do klasyfikacji zwierząt ssących, — to i inne czysto cielesne poznaki uwzględniano. Z tych naturalny chód pionowy ciała, głowa wzniesiona ku stropowi nieba, na szczycie kolumny pacierzowéj, kość udowa (femur) podtrzymująca pionowo nieomal miednicowe kości, w których zupełnie inaczéj jest osadzoną, niż w jakiémkolwiek bądź zwierzęciu i odrębnych zupełnie kształtów; zupełnie inne przymocowanie i inna miąższość mięśni (musculi) niż u zwierząt, n. p. łydki; odrębna zupełnie organizacja stopy i t. p. warunki wymagają zupełnie innego układu i kształtów części ciała mięsnych, ściągn, żył i tętnic u ludzi — niż u zwierząt.

Że w ssących najwykształceńszych ustrojach zwierząt znajdujemy te same organa co u człowieka, i jakieś pomiędzy niemi podobieństwo, a mianowicie w zarodkowych (embryon) postaciach, — a z czego właśnie darwiniści a mianowicie ich naczelnik Haeckel w początkach swéj karjery tyle fałszywych i pozorowych wniosków i następstw sobie urojili, — to żadną miarą nie może służyć za podstawę naukową, bo te znamiona są pozorowéj, podrzędnéj zupełnie natury. Ustrojowe ciała czy to roślinne, czy zwierzęce, czy ludzkie mają wspólne nietylko materjały, czerpane z materji naszéj kuli ziemskiéj, ale i główne znamiona ustrojowe: bańkowatość. Z banieczek (cellulae) składa się tak roślinne,

jak zwierzęce, jak ludzkie ciało. Ale w klasyfikacji znamiona te, właśnie dla tego że są wspólne, nie mają wartości naukowéj. Owszém w klasyfikacji istot wyszukuje się znamiona nie wspólne ale odrębne. Tych ma człowiek w porównaniu ze zwierzętami i roślinami tyle i tak stanowczych, że naturaliści jak: de Barbençois (1816), Fabre d'Olivet (1822), de Serres, Flourens, Godron, Quatrefages, Agassiz i wielu innych nie wahali się ustanowić odrębnego gospodarstwa (regnum) przyrodniczego dla człowieka, a głównie i mianowicie dla tych cech, których żadne zwierzę, a cóż dopiero żadna roślina nie posiada. Te cechy są czysto umysłowéj natury: 1) potęga rozumu; 2) właściwość mowy; 3) uczucie człowieczeństwa (etyki, t. j. uczucie praw natury i moralności).

Aż do czasów G. Cuviera — w historji naturalnéj toczyły się spory na polu czystéj metafizyki, — czy zwierzęta mają zdolności umysłowe wspólne z ludzkiemi? Ten uczony zwrócił uwagę na różnicę instynktu i rozumu: przyznając wyłącznie pierwszy jako znamię zwierząt, a rozum jako znamię ludzi. Ztąd też trafnie Flourens (w 1851 roku) twierdził: „iż co się tyczy sporu o to: czy zwierzęta mają rozum? to spór ten nie należy do metafizyki, — ale do czystego badania konów (faktów), jest to po prostu badanie doświadczalne." W nowszych czasach doświadczenia Darwina o zmienności odmian w tym samym gatunku (species), które tak zwani darwiniści gwałtem chcieli rozciągnąć i na rodzaje (genus), a uwiedzeni pojęciami matematycznemi (które się tylko stósują jedynie i wyłącznie do materji, a bynajmniéj nie do ducha, do rozumu lub instynktu), chcieli urojenia swoje zastósować nawet i do gospodarstw przyrody (regna). To téż popadli w nonsens, — że jak w matematyce do jednostki ciał martwych przez dodawanie lub odejmowanie tworzą się inne jednostki wyższego lub niższego rzędu, a ztąd i szeregi postępowe (progressio) dodatnie i ujemne; — tak i do jednostki ciał żywych przez dodawanie lub ujmowanie sądzili, że można utworzyć jednostki wyższego lub niższego rzędu, a ztąd i szeregi postępowe doskonalszych lub ułomniejszych istot. Gdy ta ich teorja nie dała się zastósować, nie wahał się p. Haeckel w rysunkach i opisach fałszować znamiona istot, byle doprowadzić do swego celu. Kto się chce o tém przekonać, niech weźmie mikroskop i porówna jego rysunki z naturalnemi okazami. Kto zaś sobie tej pracy nie zada, a jest ona bardzo mozolną i wymagającą niepospolitéj biegłości i wprawy w badaniu mikroskopem, takiemu można przez rysunki i opisy wmówić: że pięść podobna do nosa, — i w to uwierzy i przysiądz to gotów, powtarzając za panią matką pacierz*).

Wracając do rzeczy — instynkt zwierząt jest odwrotnie przeciwnym prawie rozumowi ludzkiemu.

Instynkt jest bezpośrednią przyczyną wielkiéj ilości działań, które zwierzęta wykonują bez nauki, bezwiednie, na ślepo i z musu, n. p. w niewoli z jajka wylęgły pająk usnuje tak doskonałą pajęczynę, jak jego rodzic, którego nie znał, ani jego nie widział roboty. I ludzie mają instynkt, tak jak i zwierzęta. Wrzucony chłopiec do sadzawki, lubo nigdy pływających ani sadzawki nie widział, będzie się ratował pływając tak jak pies. Ale czy zwierzęta mają rozum taki, żeby zdołał sprostać potędze rozumu ludzkiego? Najgłupszy i najsłabszy z ludzi opanuje najmędrsze i najsilniejsze ze zwierząt. W tym względzie nawet rośliny podlegają panowaniu rozumu człowieka i rodzą owoce, przybierają kształty, którychby bez jego przyczyny nie miały. Téj potęgi nie rozwinęła, nie rozwija i nie rozwinie nigdy żadna małpa, choćbyśmy jeszcze doskonalsze nad Gorille gdzieś i kiedyś odkryli. Niemowy ludzie wyuczą się malować, budować, rozlicznych sztuk i rzemiosł. Zdołaż to wykonać najdoskonalsza z małp? Tém jedném już znamieniem potęgi rozumu małpa obok człowieka stanąć już nie może, — i ani na małpę człowiek nigdy nie zdziczeje, ani z małpy nigdy człowiek się nie wykształci.

Inny taki odstęp stanowi mowa ludzka. Tu już żadnego nie ma porównania ze zwierzęciem. Niechby rozproszeni najgłupsi ludzie z czasem chodzili na czworakach i byli kudłaci jak niedźwiedzie, a niechby miljardami Gorille i Orangutany żyli w jak najwięcéj zbitéj gromadzie i przez przemiany z pokolenia w pokolenie w miljardach wieków stawały się piękne jak belwederski Apollo — to samą mową — zwierzęcych form ludzie będą jak bydłem rządzić i władać najprześliczniejszemi nawet bestjami, tak jak dzisiaj!... i pomiędzy zwierzętami nigdyby się nie pojawił — Mićkiewicz lub Dante!..

A cóż dopiero mówić o uczuciu człowieczéj godności (etyki), czyli o pojęciu prawa bliźniego i o zasadach moralności, które przy potęgach rozumu i mowy dopiero stanowią szczyt stworzeń ziemskich!... Nie! Takie stworzenie, które, jak mówi D. A. Godron: „Jedyne jedno na kuli ziemskiéj potrafiło pokonać dzikość tylu zwierząt, z których sobie ułożyło najwdzięczniejszych niewolników i zdołało zużytkować wszelkie zdolności dla swych potrzeb lub dla swych przyjemności; takie stworzenie, które wyjątkowo jedyne jedno powzięło myśl, ażeby uprawiać ziemię i zniewoliło ją do wydawania obfitych a rozlicznych plonów, zapewniających mu życie; — takie stworzenie, które się nauczyło tkać sobie ubiory, zastósowywać je do wymóg powietrzni i pór roku; — które jedyne jedno zużywać zdoła ogień, — fabrykować sobie swe narzędzia i telegrafy, koleje żelazne, parowce i balony; — które zapewniło sobie potrzeby do życia, swoje bezpieczeństwo i swój przemysł; — które się zastanawia nad sobą, roztrząsa swe myśli i pojęcia i filozofuje; — które ze szczegółów przechodzi na ogólne sądy, a z pojawów wysnuwa prawa onychże; — które samo jedno tylko pojmuje, co to jest piękno, prawda, sprawiedliwość i obowiązek; — które sięga ideą aż do swego Stwórcy; — które jedyne ma poczucie moralności i zastósowywa je w myśli, mowie i czynie do wszystkiego, co go otacza..." nie! takie stworzenie nie mogło powstać — z Gorillów ani Orangutanów, nawet przy najwyjątkowszych warunkach przemian — z pokolenia w pokolenie!... Nie! takie stworzenie — nie może należeć ani do gospodarstwa roślinnego, — ani do gospodarstwa zwierzęcego.

Chociaż więc człowiek ma coś wspólnego z naturą roślin i zwierząt, ale ma coś odrębnego jeszcze, nie wspólnego z temiż, choć jego ciało, jako stworzenia ustrojowego, podobne jest do bańkowego ustroju roślin i zwierząt, przeto i czynności jego ciała podlegają tym samym ziemskim prawom fizyologijnym i fizycznym; — choć pod temi samemi warunkami mogą i organa jego ustroju ulegać tym samym przemianom i odmianom, co i organa roślin, a szczególniéj zwierząt domowych;

Ale że 1) człowiek różni się od roślin i zwierząt jako jistota obdarzona **rozumem, mową i człowieczeństwem**,

że 2) ostatecznie w miarę niezaprzeczalnéj przewagi wpływu zasad moralności i prawa nad człowieczą ro-

*) Na to niebezpieczeństwo zwróciliśmy już uwagę w numerze 28, przytaczając za Gazetą Lwowską słowa prof. Ruskin o popularnych odczytach. — W „Ognisku", nowém, wyborném piśmie perjodyjném, kosztującém tylko 4 złp. kwartalnie, które naszym czytelnikom sumiennie zalecamy, roztrząsano wartość takiego odczytu popularnego, dr. Rakowskiego w Inowrocławiu.

Co do tych fałszowań odsyłamy do dzieła Agassiz'a, już cytowanego w Nr. 14 „De l'espèce."

ślinno-zwierzęcą naturą, jego władze umysłowe stanowią odrębną i dotąd u roślin i zwierząt niedostrzeżoną przyczynę przemian i odmian jego organów cielesnych. Dla tego to właśnie nie może należyć człowiek ani do roślin, ani do zwierząt, ale stanowi odrębne gospodarstwo — ludzkie (Regnum hominimum, humanum seu morale) w umiejętności historji naturalnéj, wśród utworów ustrojowych ziemi naszéj.

Wł. hr. Chotomski.

Rodzina węglarza,

przez **W. I. B.**

Któż z pieśni naszéj rodziméj — ogniska,
Zkąd cichym szmerem łza po łzie przecieka,
Zkąd się do duszy westchnienie przeciska,
Gdzie się w mgłę żalu serce przyobleka;
Któż z téjże pieśni domyślić się może,
Iż ton jéj dawny, przeszłe dziejów łoże
Zasłane było różanemi kwiaty,
Owiane świeżéj wonności podmuchem!
Choć — duch téj pieśni inaczéj bogaty
Brata się jednak z dawnym uczuć duchem!...
Któż to zrozumie, gdy bólem rozpaczy,
Zawodu, żalu, walk i niepowodzeń,
Zmieni się człowiek, z gruntu przeinaczy?
Iż ani bratnie nie pozna go serce,
Ani zrozumie tę zmianę przechodzień,
Ani uczują zgryzotę oszczerce,
Tak im się dziką owa zmiana wyda,
Tak wyda ciemną téj zmiany ochyda.
A przecież — czemu ta dusza wrażliwa?
Czemu to serce walkami rozdarte?
O! bo na życia tego jasną kartę,
Wiele rozsnuło się tego przędziwa
Szarych pajęczyn, co motają serce,
Co duszy ludzkiéj motają ogniwa.
Lecz nie zrozumią téj zmiany oszczerce,
Nie pozna obcy, ani obojętny!
Ach! a któż pojmie ton pieśni téj smętnéj?
Co choć rozwinąć chce wyraz znajomy,
Te przecież widne zdala te wyłomy,
Które jéj zadał cios nocy pamiętnéj!
Myśmy nie winni, że pieśń nasza inna,
Że myśl się wzbija wyżéj — nic nie winna;
I serce nasze, że woń je oblewa
Rzewnéj tęsknoty, że jęczy, że płacze;
Struna fantazji nie winna, że śpiewa
Same cierpienia — górując rozpacze.

I.

Wieść przeraźliwa, straszna jak szkarada,
Sunie od wschodu. Nieraz od téj strony
Przychodzi trwoga jako mara blada,
Rozpościerając się na wsze zagony,
Na chaty wiosek, na ulice grodu,
Na barki ludzi, na serce narodu.
Już się niejedna wioska wypleniła,
Niejeden kurhan urósł w objętości;
Już serca ludzkie smutne jak mogiła,
Zasłały gruzy ukochanych kości;
I już po strunach duszy grać poczęły
Ostatnie — ostre akorda: dzikości,
Grozy, rozpaczy — i skargi sumienia.
A czy to słabe dziecię wśród kołyski,
Czyli mąż znany z twardego ramienia,
Czyli niewiasta z zdrową krasą lica,
Każdy zarówno téj trwogi był blizki.
I z nagła — cała taka okolica,
Gdzie się téj grozy jawiło straszydło,
Zmieniała postać: ustawała praca,
W polu samopas pasało się bydło,
Zmięszane zbiory, zmięszana granica
I ład wszelaką swą sławę utraca.
A ludzie dawnéj nie bacząc wygody,
Ani przyszłemi turbując się losy,
Ni zagród swoich nie chronią od szkody,
Ni spojrzą okiem na zboża pokosy,
Co sporo grosza wnieść miały do chaty,
Ani ich straszą zawody, ni straty.
Na nic nie pomnąc, zamknęli słuch w sobie,
Zda się, iż chodzą po życiu w żałobie;
Lub, że targając ogniwa rodziny,
Chcą w zapomnieniu i rozkoszach ciała
Zatrzeć swe cnoty, boleści i winy
I te uczucia, co dusza stargała.
A jeszcze użyć raz ziemskiéj swobody,
Raz się zanurzyć w nurty zapomnienia,
Raz jeszcze puścić swój umysł w zawody
Z rozkoszą ciała — a skargą sumienia.
Raz jeszcze — zanim miecz czarnéj szkarady
Dosięgnie ostrzem rozkiełznanéj czaszki,
Zetrze ten uśmiech szalony i blady,
To serce, pełne bezmyślnéj igraszki,
Ostatniéj w życiu — raz jeszcze pohula!
Pełne więc domy, gdzie gawiedź szalona
Bieży, ostatkiem swych sił podniesiona,
Zalać robaka, co serce rozczula,
Co gwałtem ciągnie do chaty i trwogi,
Pod swojskie grzędy, pod swój dach ubogi
I pod próg cichéj, znajoméj świątyni,
Kędy pobożne wabi go pragnienie.
Lecz on nad sercem wysiłek uczyni,
Stłumi ten pociąg, zaleje westchnienie,
Zgnębią ostatnie serca uderzenie!

II.

A oto — mimo hulaszczéj gospody,
Ciągnie na cmentarz cicha karawana;
Nikt nie zapyta, czyje niosą zwłoki?
Czy wiek zmarłego styrany, czy młody?
A droga życia, czy była zasłana
Cichemi cnoty, czy brudem i sromem?
Nikt nie przypomni odmówić pacierze
Nad owém ciałem człowieka znikomém;
I nikt uczucia żalu, przebaczenia,
Jako wspomnienia po nim nie zabierze
Do swego serca, do swego sumienia.
A cichy zastęp idzie jak sierota;
Doszedł powoli pod cmentarne wrota,
Lecz drzwi zamknięte, bo zakaz surowy
Tkniętych zarazą grzebać nie pozwoli
Na mogilniku, lecz na prostéj roli,
Zdala od wszelkiéj żyjących budowy,
Zdala od wszelkiéj życzliwszéj istoty!
Idzie więc krokiem nieśmiałéj sieroty
Na puste pola szerokiego łanu,
Poszukać sobie miejsca dla kurhanu.
A za tym trupem, skoro wyszedł z domu,
Popłakać, spojrzeć nie ma prawie komu!

Ani jest komu do bramy cmentarza
Prowadzić zmarłych zwykłemi pochody,
Bo co godzina w wiosce się powtarza
Taż sama scena ludzkiego konania,
Scena okropna, gdzie idą w zawody
Żal, trwoga, rozpacz, i zkąd się odzywa
Do serca ludzi nędza nieszczęśliwa
Znaném od wieków echem kołatania.
Niezmordowane to echo kołace
Do serc wieśniaczych pochylonéj strzechy;
Podchodzi zwolna pod jasne pałace,
Wszędzie wzywając ratunku, pociechy;
Wzywając ulgi i politowania,
Dla ludzkiéj biedy, ludzkiego konania.
Lecz nadaremnie! burza jak szalała,
Tak mimo ulgi pieni się, szaleje,
Aż się szeroko falą swą rozlała,
Jak się bieg wody pieni i rozleje;
Wszystko gromadząc pod swe panowanie
Cokolwiek w drodze jéj prądowi stanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu

przez

E. z Kurowskich Puffke.

(Ciąg dalszy.)

V.

Wszyscy goście bawiący na kuracji w F... schodzili się zwykle o szóstéj zrana u źródeł. Tak téż i rodzina hrabiowska, tylko że hrabia przybywał zwykle nieco rychléj na promenadę, bo panie czasem zasypiały, czasem spóźniały się dla ubioru.

Tego poranka, gdy wiliją wieczorem hrabia odebrał był szkatułkę, przeciwnie się stało. Panie już były ubrane, ale on nie poszedł do źródeł, a w jego pokoju zupełna panowała cisza. Hrabina, która lękliwie słuchała u drzwi, słyszała tylko ciche krząkanie lub wołanie po nazwisku którego z psów. Łucja przyszła do niéj. Obie młode kobiety spojrzały na siebie wzrokiem pełnym niepokoju i trwogi. Wzajemnie wyczytały z swych twarzy, jak niespokojną noc spędziły. Nawet Łucji błyszczące oczy były dzisiaj niby zamglone. Jéj zwykle tak stanowcze poruszenia zdawały się dzisiaj hamowane jakimś niezwykłym ciężarem, który się zdawał tłoczyć jéj duszę i psuł piękną harmonję całéj jéj istoty.

Hrabina była jeszcze bledszą niż zwykle, jéj piękne niebieskie oczy otoczyła sina obwódka, a na ustach osiadł rozrzewniający wyraz bolesnéj rezygnacji.

— Czy mój brat jeszcze nie wyszedł? rzekła Łucja po cichu, spozierając na zamknięte drzwi jego pokoju.

Rozalja odpowiedziała tylko przeczącem skinieniem głowy.

— Lecz przecież musiał już wstać. Ubierzmy się spiesznie i chodźmy wszyscy razem do kursalu, rzekła Łucja.

Rozalja stała z założonemi na piersi rękoma, nie wiedząc widocznie co czynić.

— Mnie się dziś wcale nie chce wychodzić z domu, rzekła nakoniec. Jestem tak znękaną, osłabioną.

— To właśnie taka przechadzka ranna wzmocni i odświeży twe nerwy, rzekła Łucja.

— Wolałabym zamknąć się i nie widzieć się z nikim, rzekła znowu Rozalja.

— To jest chorobliwe usposobienie, któremu się nie trzeba poddawać, odpowiedziała Łucja. Jest to właśnie celem tutajszéj twéj podróży, byś się wyleczyła z takowych napadów.

— Ten cel trudno będzie osięgnąć wśród obecnych okoliczności, rzekła Rozalja z bolesnym uśmiechem.

— Pewno, jeżeli ciągle poddawać się będziesz twoim dawnym splenom i usuwać się od ludzi, rzekła Łucja.

— Po wiadomościach których udzieliłaś mi wczoraj...

Rozalja przestała mówić i odwróciła twarz, chcąc ukryć łzy, które jéj się do ócz cisnęły.

— Właśnie dzisiaj niepowinniśmy pozostawać w domu, rzekła Łucja, gdyż przez to moglibyśmy wystawić się na porozumienie, jakobyśmy się poczuwali do przypisywanéj nam winy. Powinniśmy każdemu śmiałe stawić czoło, a tłum sądzi tak łatwo z pozorów. Pójdź, moja droga, rzekła biorąc za rękę bratową. Przezwycięż swoją słabość, wymaga tego twój własny i twego męża interes.

Te argumenta sprawiły na słabéj Rozalji niejakie wrażenie, otarła oczy i zabrała się do wyjścia, lecz pierwéj zapukała jeszcze do drzwi od mężowskiego pokoju. Na to słychać było wewnątrz warczenie psów i spieszny chód po pokoju.

— Czy nie pójdziesz z nami do źródła? zapytała Łucja.

— Albož to już tak późno? odpowiedział hrabia przez drzwi.

— Zapewne, odpowiedziała Łucja, już jest daleko późniéj niż zwykle.

— Idźcie naprzód, odezwał się hrabia, przyjdę zaraz za wami, ale teraz nie mogę się jeszcze pokazać.

Kobiety spojrzały na siebie z podziwieniem. W głosie i wyrażeniach hrabiego było coś tak dziwnego, niezwykłego. Nie powiedział im dzień dobry, nie otworzył drzwi, a było słychać, iż przechodził się spiesznym krokiem po pokoju. Łucja przyłożyła rękę do klamki, chcąc się przekonać naocznie o stanie brata, lecz zamek był na klucz zamknięty wewnętrznie.

— Daj mu pokój, rzekła Rozalja wstrzymując rękę młodéj dziewczyny. Może jest zajęty czytaniem papierów, które były w szkatułce i chce być samym. Powiedział przecież, że przyjdzie za nami.

Łucja, nie chcąc wzruszać na nowo lękliwéj bratowéj, odstąpiła ode drzwi i obiedwie udały się same do źródła. Wychodząc z domu, Łucja poleciła służącéj Weronice, by powiedziała hrabiemu, że będą czekać nań w kursalu.

Gdy dwie młode kobiety przybyły do źródła, muzyka grała właśnie drugą część choralu, od którego zwykł się rozpoczynać koncert porankowy u wód. Rozalja słuchała z niezwykłém rozrzewnieniem wzniosłych dźwięków po mistrzowsku wykonywanéj muzyki. Wkrótce przyłączył się do nich doktor Kolaczek i powitał je uprzejmie i serdecznie. Już chciał wymówić to zwykłe zapytanie u wód: „Jakżeście panie spały?“ kiedy spostrzegłszy blade i wzruszone twarze obudwóch pięknych kobiet, zatrzymał się zmięszany.

— Czy pan wspomniałeś wczoraj wieczorem co do mojego brata o wiadomościach odebranych z Wiednia? zapytała go wkrótce potém Łucja.

— Przecież wczoraj przy rozstaniu uczyniłaś mi pani znak, bym tego nie czynił, odpowiedział doktor.

Łucja spojrzała na niego z wdzięcznością i rzekła znów z cicha:

— Jednakże mój brat przybył wczoraj wieczór w bardzo złym humorze do domu. Czyżby na innéj drodze miały go dojść takowe pogłoski?

— Toby niestety bardzo łatwo być mogło, odrzekł doktor. Takie rzeczy prędko się rozgłaszają.

— Czy w Wiedniu to jest już głośném?

— O tém wątpię. Mój kolega dowiedział się tego od kogoś, który jest w nader bliskich stósunkach z urzędnikami sądowymi.

— Czy pan nie dowiedziałeś się jeszcze nic bliższego?

— Nic jeszcze pani.

Teraz ukazał się pan dyrektor na promenadzie. Zajęty cały rozmową z Juljuszem Melville, zdawał się nie widzieć wcale hrabiny i Łucji, ta spostrzegła jednakże, że jego oko odwróciło się umyślnie od nich.

— Nie chce nam się ukłonić, pomyślała. Czyżby i on miał już coś o tém wiedzieć? To byłoby dlań zadośćuczynieniem, z któregoby nieomieszkał korzystać.

Nagle ukazała się pomiędzy przechodzącemi Weronika, panna służąca hrabiny. Tknięta bolesném przeczuciem Łucja, pospieszyła ku niéj.

— Ach pani, wołała Weronika z przestrachem, racz pani pospieszyć do domu, pan hrabia takie dziwne wyprawia rzeczy — ja go się boję.

— Co robi mój brat? zapytała Łucja przestraszona.

— Ah, to trudno opowiedzieć. Jest zupełnie inny jak zwykle.

Łucja namyślała się przez chwilę czy powiedzieć o tém Rozalji i doktorowi. Nie masz tu już co ukrywać, pomyślała, niech oboje idą zemną, a może nawet pomoc lekarska będzie nam potrzebną.

Wkrótce stanęli wszyscy troje w przedpokoju pomieszkania hrabiowskiego. Już na schodach usłyszeli zgiełk dziwny; hrabia zdawał się wyprawiać z swemi psami jakieś gonitwy. Psy szczekały, skomlały, a wśród tego rozlegał się wrzaskliwy śmiech lub klątwy.

— Almanie co robisz? zapytała Łucja kołatając mocno do zaryglowanych jeszcze drzwi.

— Bawię się w policję, odezwał się chrapliwym głosem hrabia. Cezar jest złoczyńcą, ja i Merlin staramy go się schwycić, ale on jest djabelnie przebiegły, gryzie i nie da się ująć.

Rozalja drżąc cała wsparła się na ramieniu lekarza, by nie upaść zemdlona. Ten nie miał dla niéj słowa pociechy, przeczuwał bowiem, jak straszna katastrofa zaszła w umyśle hrabiego wśród téj nocy. A czyż to nie miało związku z wiadomościami wiedeńskiemi?

— Otwórz-że Almanie! wołała Łucja błagalnie.

— Dobrze! odezwał się głos z wewnątrz, wy będziecie sędziami, którzy winowajcę do zeznania zmusicie — a choć niewinien, będzie musiał przyznać się do winy! Niech sobie wymarzy, że popełnił morderstwo! dodał z głośnym śmiechem i otworzył drzwi.

Jakże okropnie wyglądał. Zdawał się o kilkanaście lat starszy; jego oczy spozierały w około w zupełném obłąkaniu. Cała jego postać znękana i zgarbiona przedstawiała widok prawdziwie litość wzbudzający.

Łucja i doktor Kolaczek, którzy tuż obok niego stali, poznali z przerażeniem wszystkie oznaki obłąkania.

— Almanie, drogi Almanie! Uspokój się... zastanów się! zawołała Łucja chwytając ręce brata.

Hrabia patrzał na nią w milczeniu, lecz trudno było poznać, czy ją zrozumiał.

— Jestem na wszystko przysposobiony, — rzekł ponuro.

Rozalja, która dotychczas stała na uboczu nie śmiejąc się przybliżyć, teraz usłyszawszy że przemówił kilka słów spokojniéj, przybiegła i głośno płacząc rzuciła się w jego objęcia.

— Co ci jest mój najdroższy! zawołała spoglądając na niego miłośnie.

— Idź, moje dziecię, rzekł hrabia odpychając ją zlekka od siebie; idź, bo i twoje życie zatruje moje zbliżenie... idź, uciekaj odemnie! i to mówiąc gwałtownie zaczął machać rękoma, jak człowiek największą rozpaczą przejęty.

Łucja i doktor spojrzeli na siebie w najwyższém podziwieniu. Rozalja stała jak osłupiała; cała jéj postawa wyrażała bolesną wątpliwość i boleść, że jest odepchniętą.

Tak stali wszyscy przez chwilę w milczeniu, gdy nagle głos dzwonka u drzwi ściennych zbudził ich z tego chwilowego osłupienia. Weronika pobiegła otworzyć. Wkrótce ukazał się we drzwiach mężczyzna trzymający w ręku plikę papierów, a za nim dwóch innych panów. Po zwyczajnych ukłonach pan z papierami w ręku zbliżył się do hrabiny i rzekł jak najuprzejmiéj:

— Żałuję bardzo, iż zmuszony jestem odbyć rewizję w domu pani hrabiny. Oto mój rozkaz urzędowy.

Rozalja cofnęła się z przestrachem.

— I to jeszcze! wymówiła zcicha obracając się do Łucji.

— Pan mylisz się zapewne, rzekła Łucja przystępując do nieznajomego. Znajdujesz się pan w domu hrabiego Rikoczy.

Za całą odpowiedź podał jéj drukowany papier.

— Dobrze, rzekła teraz Łucja, nie patrząc wcale na podane jéj pismo; uczyń pan co ci rozkazano, ale zechciéj oszczędzać ile możności mego brata, który, jak pan widzisz, jest ciężko chory na febrę.

— Nie potrzebujesz lękać się pani niczego, rzekł urzędnik. Ale proszę państwa, aby każde z was zechciało się udać do swego pokoju i tam pozostać dopóką rewizja nie będzie ukończoną.

Teraz dopiero przypomniało się Rozalji o szkatułce. Szukała jéj oczyma w pokoju męża, lecz nie mogła jéj spostrzedz.

— Dostanie się w ręce policji, pomyślała. Jest zapewne w jego biórku... i ostatni promyk nadziei i odwagi zagasł w jéj sercu; została w stanie zupełnéj bezwładności, z jaką zwykle ludzie słabi z przyrodzenia znoszą wszelkie ciosy losu.

Łucja odprowadziła ją do jéj pokoju i sama potém udała się do swego. Doktor Kolaczek pozostał przy hrabim i starał się obojętną rozmową go zabawiać. Tenże zdawał się niepojmować zupełnie co w domu jego zaszło.

Urzędnik policji z swemi obudwoma policjantami otworzył biórko, napisał protokuł o wszystkich znajdujących się w nim przedmiotach, które uznał za godne by na nie położyć areszt. Były to mianowicie listy i papiery. Potém pootwierano wszystkie szuflady i pudła. Nakoniec przyszła koléj na skórzany kuferek, stojący w sypialni hrabiny. Tutaj znalazło się coś nader ważnego. Był to słojik kryształowy, na którym była przylepiona karteczka z napisem: „trucizna.“ Okoliczności przy znalezieniu tegoż zostały skrupulatnie wzięte do protokułu.

Urzędnik zdawał się przecież szukać jeszcze czegoś usilnie. Szukał on szkatułki, która była panu dyrektorowi wyraźnie poleconą, lecz nie znaleziono jéj nigdzie. Nawet popiół w piecu nie zostawiono w spokojności, lecz i tam nie było z niéj śladu. To dało powód do tém ściślejszéj rewizji nawet w pokoju hrabiny.

Nieszczęśliwa kobieta przypatrywała się wszystkiemu

w niemém osłupieniu. Szkatułki nie było u niéj. Ale zabrano wiele jéj korespondencji, a mianowicie wszystkie listy Karoliny, zmarłéj hrabiny Rikoczy. Także kilka listów hrabiego, pisanych do jego teraźniejszéj żony za życia pierwszéj i wkrótce po śmierci téjże. Z tych listów można było wyciągnąć może ważny materjał ku obwinieniu hrabiego.

— Czy pani hrabina nie wie o szkatułce, którą pani dostałaś od zmarłéj hrabiny? zapytał urzędnik.

Rozalja wahała się przez chwilę z odpowiedzią, będąc pewną, że urzędnik znalazł szkatułkę w pokoju mężowskim. Gdyby miała powiedzieć, iż nie wie o żadnéj szkatułce, czyżby kłamstwo takie nie rzucało na nią podejrzenia?

— Kazałam ją wczoraj oddać memu mężowi przez jego siostrę, rzekła więc otwarcie.

— Lecz nie znaleźliśmy jéj u niego, odpowiedział urzędnik.

— To nie pojmuję co się z nią stało, rzekła hrabina z nieudaném zdziwieniem.

Teraz przystąpiono do rewizji w pokoju hrabianki Łucji. Z obliczem zarumienioném od gniewu otwierała młoda dziewczyna wszystkie swoje szuflady, kuferki i pudełka. Urzędnik przejrzał wkrótce wszystko bez najmniejszego rezultatu.

Nakoniec przeszukano także mieszkanie służących. Wszystko daremnie!

Urzędnik zwrócił się teraz do samego hrabiego.

— Gdzie jest szkatułka, którą panu wczoraj siostra pańska wręczyła? zapytał.

— Ah! zaraz zapłacę, odpowiedział hrabia sięgając do kieszeni. Ile należy się panu za fatygę?

Urzędnik uśmiechnął się.

— Pan mnie nie rozumie, rzekł, ja pytam o szkatułkę z listami.

— Cezar, tu Cezar, złoczyńco chodź tu! zawołał hrabia śmiejąc się ochrypło. Tyś zawinił choć to nieprawda; powiadaj gdzieś podział szkatułkę, bo cię powieszę.

Pies przestraszony groźnym głosem swego pana, przybiegł łasząc się.

— Widzicie panowie, ta bestja czuje się winną, mówił hrabia wskazując na psa. Sumienie go dręczy — on połknął szkatułkę. Była to gorżka pigułka — zapewne zdechnie od niéj... Albo rozerznijcie mu brzuch i wyjmcie szkatułkę: w tym razie też zdechnie... to na jedno wyjdzie!...

Urzędnik uśmiechał się, lecz poprzestał dalszego badania. Jednakże chociaż pomieszane i dziwaczne były odpowiedzi hrabiego, dopuszczały przecież rozmaitych domysłów.

Zabrane przedmioty zapakowali urzędnicy w kosz i odnieśli do bióra policji. Jeden z policjantów pozostał w domu hrabiego, by oczekiwać dalszych skazówek dyrektora.

Ten znajdował się w biórze o niezwykłéj godzinie; chciał bowiem odebrać raport z odbytéj rewizji. Dowiedziawszy się wszystkiego, nie wątpił bynajmniéj o winie hrabiego.

— Zdaje się, że ten pan jest obłąkany, rzekł komisarz policji.

— Udaje, rzekł zimno dyrektor. Jest to znajomy wybieg złoczyńców, którzy nic na swoją obronę nie wiedzą. Lub może też rzeczywiście szkatułka uderzyła mu do mózgu i pomięszała go cokolwiek. Ale to czyni go tém bardziéj podejrzanym i okazuje, że w tych papierach jego zmarła żona oskarża go o zatrucie jéj! Bo czemuż byłby tę szkatułkę skręcił tak zręcznie?... Przedewszystkiém powinniśmy jak najusilniéj starać się o jéj wynalezienie. Trzeba wybadać gospodarza domu, czy hrabia nie wychodził w nocy. Każ pan także przeszukać w kloakach; a przedewszystkiém trzeba posłać po lekarza sądowego, by zbadał stan hrabiego. Na każdy przypadek trzeba postawić straż przed domem hrabiego. Ale człowiek, który będzie na straży, może być ubrany po cywilnemu, dla uniknienia ciekawości ludzkiéj.

Komisarz policji odszedł, by wszystkie te rozkazy uskutecznić.

W kilka godzin późniéj lekarz sądowy przybył zdać panu dyrektorowi sprawozdanie z odbytéj wizyty u hrabiego.

— Hrabia Rikoczy ma chwilowo zupełne pomieszanie zmysłów, rzekł doktor stanowczo. Miałem już często do czynienia z ludźmi udającemi obłąkanie i umiem doskonale rozróżnić to od rzeczywistego obłąkania. Starałem się podchwycić hrabiego na rozmaitych rozmowach, które koniecznie go zajmować musiały, bo się tyczyły jego własnych stósunków; jednakże on słucha wszystkiego z równą obojętnością, a gdy popadł w gwałtowne szaleństwo tłukł nietylko sprzęty należące do gospodarza, ale nawet własne, jak n. p. zegarek.

— Cóż jest jego główną ideą? zapytał pan dyrektor niezadowolony bynajmniéj sprawozdaniem lekarza.

— Uczy swego psa Cezara roli niewinnie oskarżonego, który jednak nie jest zupełnie niewinnym, i dręczy przytém niemiłosiernie to biedne zwierzę, odrzekł lekarz z uśmiechem.

— Ta fixacja zdaje się być w związku z podejrzeniem, które ciąży na tym cudzoziemcu, rzekł dyrektor.

— Zapewne; jego obłąkanie zdaje się być skutkiem wyrzutów sumienia i może służyć nam jako smutny obraz jego występkiem splamionéj duszy. Nie można przecież z tego żadnych prawnych dowodów wnioskować.

— Lecz czy pan konsyljarz nie ma nadziei, iż ten obłąkany powróci wkrótce do zmysłów?

— Spodziewać można się tego, odpowiedział doktor, ale trzeba go ochraniać jak najtroskliwiéj i uważać jako chorego potrzebującego wielkiéj pieczołowitości.

— Więc go nie można aresztować?

— W takich okolicznościach trzeba będzie zaniechać tego.

— Jednakże mam sobie za obowiązek kazać go pilnować.

— Można go odprowadzić do tego oddziału więzienia, który jest specjalnie urządzony na takie przypadki. Tam będę go leczył jak najstaranniéj.

— Dobrze, w przeciągu godziny będzie się tam znajdował.

— Ale pod pozorem choroby, panie dyrektorze. Najlepiéj że ja sam będę mu dotąd towarzyszył.

— Uczyń to panie konsyljarzu.

Zaledwie doktor oddalił się z bióra policji, ukazał się w nim Juljusz Melville. O zajściach dzisiejszego poranka dowiedział się był już w przedpokoju od komisarza policji.

— Czy pan nie każesz aresztować hrabiny? zapytał dyrektora w ciągu rozmowy.

— O tém nic jeszcze nie postanowiłem, odpowiedział tenże wzruszając ramionami. Zdaje mi się, iż do tego nie masz dostatecznych powodów.

— Proszę rozważ pan, że hrabina Rikoczy, kochana już dawniéj od swego męża, miała przyczynę życzyć sobie śmierci jego żony; i musiała także życzyć sobie, by ta żona zostawiła przez zabezpieczenie życia znaczny majątek, ponieważ majątek hrabiego był do szczętu zrujnowany, a ona żadnego nie mogła się spodziewać posagu, więc ich małżeństwo byłoby niemożebném, gdyby po śmierci jego pierwszéj żony nie była zarazem zaszła wielka zmiana i w jego stósunkach finansowych. Rozważ pan daléj, iż umierająca, w ślepem zaufaniu do przyjaciółki, która była zarazem jéj wspólzalotniczką i jéj następczynią być miała, że umierająca przesłała jéj szka-

tułkę z papierami, która zaginęła dopiero w chwili rewizji i o któréj teraz nikt z téj rodziny wiedzieć nie chce. Biorąc wszystkie te punkta pod rozwagę, wątpić nie można, że hrabina jest wtajemniczoną do téj zbrodni.

— Przyaresztujemy ją w jéj mieszkaniu, rzekł dyrektor po chwili milczenia, dopókąd ważniejsze odkrycia nie spowodują jéj uwięzienia sądowego.

— A doktor Kolaczek? zapytał znów Melville. Jest on osobistym przyjacielem hrabiego i leczył zmarłą hrabinę w jéj ostatniéj chorobie.

— Pozostawiemy go na wolności, ale musi złożyć znaczną kaucję.

— A panna Rikoczy? rzekł agent z przebiegłym uśmiechem.

— Przeciwko niéj nic dotychczas nie ma, mruknął niechętnie dyrektor. Gdybyś pan jednakże mógł wynaleźć jakie dowody przeciwko niéj...

Agent wzdrygnął ramionami i pomyślał z złośliwym uśmiechem: Czyś pan nie dostał od niéj koszyka? Nie jest-że to dość wielkim występkiem przeciwko pańskiéj próżności? Lecz głośno rzekł tylko:

— Możnaby hrabiankę podejrzywać o ukrycie szkatułki, tak ważnego dokumentu w téj sprawie. Podług zeznania hrabiny ona miała ją wręczyć wczoraj wieczorem hrabiemu — dzisiaj rano już jéj nigdzie nie było.

— Masz pan słuszność, przerwał mu dyrektor skwapliwie. Może być bardzo potrzebném podczas przebiegu śledztwa, by i panna Rikoczy przyaresztowaną została, w celu uniemożnienia wszelkich kroków téjże ku zniszczeniu ukrytéj tak sprytnie szkatułki.

— Byłoby to bardzo mądrém rozporządzeniem, powiedział Melville, a w myśli dodał: Bo nie można pozostawić bezkarnie danego koszyka panu dyrektorowi policji, tak pięknemu i genjalnemu panu.

Agent pożegnał się teraz, z ową wytworną pewnością siebie, którą już od początku uważaliśmy u niego.

VI.

Tymczasem pan konsyljarz Weidner udał się do pomieszkania hrabiego w towarzystwie dwóch ludzi do pielęgnowania chorych, w zamiarze wywiezienia tegoż do więzienia. Zastano hrabiego zupełnie spokojnym; doktor Kolaczek był przy nim.

— Pan jesteś chory, rzekł konsyljarz uprzejmie; byłoby bardzo potrzebném, abyś się pan przeniósł do lazaretu, gdzie będziesz miał daleko lepszą wygodę niż tu w tém najętém pomieszkaniu.

— Doprawdy?... ja chory jestem?.. odrzekł hrabia z bolesnym uśmiechem. Ach tak, mnie się też tak wydaje... Patrz tylko pan tam na tego mego sobowtóra, Cezara!... mówił wskazując na śpiącego w kącie psa. To psisko też chore. Tak go męczono długo o jakieś niewiadome mu zbrodnie, że aż sam uwierzył, że je popełnił. A z tego urojonego strachu połknął szkatułkę, spodziewając się, że w niéj znajdują się dowody jego winy. Ale mu to na złe wyszło, czuje wielką niestrawność, krew uderzyła mu do głowy i to pogorsza jeszcze jego położenie. Zobacz pan jego puls, kochany panie, jestem pewien, że biedne psisko ma wielką gorączkę.

Gdy to wszystko wypowiedział jedném tchnieniem, umilkł i zamknął oczy.

— W tém obłąkaniu jest nieco metody, szepnął konsyljarz do swego młodego kolegi.

— Zapewne taka, jak w oskarżeniu, które przeciwko niemu podnoszą, odpowiedział tenże zimno; to jest metoda, polegająca na pozorach — robiąca sobie z tego okrutną zabawkę.

Konsyljarz spojrzał na niego z podziwieniem, lecz w téj chwili przypomniał sobie, że na młodym doktorze cięży także podejrzenie, nie dziw więc, pomyślał, że tenże staje po stronie hrabiego

— Więc proszę się zabierać, rzekł konsyljarz obracając się do chorego; dorożka czeka na nas przed domem.

— Jestem gotów, rzekł obłąkany, podnosząc się z trudnością z wygodnego fotelu, na którym siedział dotychczas.

— Lecz czy pan hrabia nie życzy sobie pożegnać się z żoną i siostrą? zapytał doktor Kolaczek.

— Ah z Rozalją?... rzekł hrabia kładąc rękę na czole. Więc ona żyje jeszcze, ale ja ją wkrótce zabiję, tak jak zabiłem Karolinę.

Konsyljarz spojrzał znacząco na młodego doktora.

— Pan rozumiesz przez to, rzekł tenże, że pani Rozalja zmartwi się śmiertelnie losem pana, tak jak się może pani Karolina zmartwiła.

— Ah ty mnie doskonale rozumiesz, doktorze, rzekł hrabia, a na jego twarzy ukazał się niejakiś promyk rozeznania. Chodź także z nami do lazaretu i weź mnie w kurację, ty mnie zapewne wyleczysz. Wszakże i moją Karolinę leczyłeś tak szczęśliwie, że wkrótce uwolnioną została od swych cierpień.

W ten sposób mówił jeszcze długo hrabia, aż nakoniec konsyljarz znudzony dał znak do wyjścia, a biorąc na bok młodego kolegę, rzekł:

— Mojém zdaniem, nie dobrze byłoby wystawiać obłąkanego na wzruszenie, jakieby na nim sprawić musiało pożegnanie z żoną i siostrą.

— Więc pan uważasz stan jego za udany, odrzekł Kolaczek z przyciskiem; bo obłąkany rzeczywiście nie mógłby wcale pojąć znaczenia takiego pożegnania.

— Po tém co dopiero słyszałem, odrzekł konsyljarz, nie mogę powziąść jeszcze stanowczéj co do tego decyzji. W każdym razie w stanie, w jakim się znajduje, lepiéj oszczędzić mu tego wzruszenia, które nawet dla zupełnie zdrowych musiałoby być bardzo bolesném.

Nie było co powiedzieć na to, więc i młody lekarz zamilkł i wszyscy troje wyszli z pokoju. W sieni spotkali hrabinę, która w przedpokoju słyszała zapewne całą ich rozmowę. Blada jak cień, chwiejąca się jak trzcina wśród burzy, zbliżyła się do męża.

— Idź drogi Almanie, rzekła całując go. Bóg zsyła nam te boleści, lecz nas pocieszy niedługo. Miéj w nim nadzieję!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka uwag o prasie galicyjskiej.

Odczytawszy verba veritatis w Tygodniku Wielkopolskim, a w numerze ostatnim kilka słówek prawdy z Krakowa, sądzę, że nie od rzeczy będzie przesłać wam i ze Lwowa nieco wiadomości. — Prawda w oczy kole; — i gorzka to potrawa, przed którą cofają się szczególnie u nas we Lwowie — nawet odważni ludzie. Jedni mówią: na co zaczepiać djabła; — drudzy śmieją się w kułak, gdy bezczelność z obłudą szarpie cudzą sławę; — a znów inni kontenci są, że umieją, zbratawszy się z naszemi sędziami żurnalistyki, pokrywać swe grzechy cudzym kosztem i tym sposobem falanga wzajemnej admiracji oddaje sobie hołdy i pochwały poddanemi dziennikami, a kto się odważy podnieść głos przeciw temu nadużу-

ciu, — ma cały zastęp przeciwko sobie. Zacznę od dzienników. Mamy trzy dzienniki polityczne we Lwowie: Gazetę Urzędową, Gazetę tak zwaną Narodową i Dziennik Polski. — Urzędowa pisze naturalnie, co jéj rząd każe; — lecz przyznać należy, że w obec nieustannych kozłów politycznych i humbugów Narodówki, a częstokroć nieoględnych krzyków Dziennika Polskiego, Gazeta Narodowa w czasie ostatnim nadzwyczaj poważnie wygląda i tak w treści politycznéj, jako też w dziale kronikarskim i artystyczno-literackim najlepiéj bywa redagowaną. Koszlawieje ona w sprawach autonomji krajowéj, lecz ta wadliwość okazałaby się wybitnie dopiero wtedy, gdyby dzienniki krajowe umiały a zarazem chciały traktować należycie te najżywotniejsze sprawy. — Dziś niestety o tém mowy nie ma, bo tak Gazeta Narodowa, jak Dziennik Polski ulegają wpływom osób i koteryj, i pomimo pozornéj niezawisłości, są zawisłemi. — Gazeta Narodowa przetrwała czasy stanu oblężenia, czyli tak zwanego stanu wojennego, kiedy Galicja rządzoną była przez wojskowe władze. Wówczas Gazeta najlepszą miała redakcję, bo też kilku mężów ducha i serca dawali swe prace Gazecie. — Gdy sejm krajowy zwołano po dłuższéj przerwie w r. 1865, zaczęły się umizgi posłów do Gazety, bo każdy wolał być chwalonym, aniżeli strofowany o wady, bez których nikt się nie obejdzie. Zaczęły się też sypać i artykuliki, a privat diligentia pisane niby fachowo, ale to było więcéj w interesie samochwalstwa, aniżeli w interesie dobra publicznego. Gazeta poczuwszy swą ważność, odgrywać zaczęła rolę Jowisza piorunującego; poważni współpracownicy widząc, na co się zanosi, porzucili ją, — a nowopowstające Dzienniki, które nie miały sił i wytrwałości do wytrzymania zawistnych pocisków, zwijały chorągwie jeden za drugim i przycichały po kilkomiesięcznych utarczkach. Naostatek powstał Dziennik Polski, a współpracownicy Gazety Narodowéj prawie wszyscy rzuciwszy ją z ochotą, przeszli do Dziennika. Zaczęły się wzajemne inwektywy, a naostatek skandaliczne procesa z powodu obwinień szkaradnych, zarzucanych redaktorowi Gaz. Nar., jak np. zarzucane przekupstwa bankowe — sprawa z Kirchmajerem o sprzedaż dóbr koronnych, — i najbrzydszy ze wszystkich proces z właścicielem Dziennika Polskiego, zakończony komplanacją po długich hańbiących rokach i listach jeszcze szkaradniejszych publicznie ogłaszanych, jak n. p. List otwarty do p. Jana Dobrzańskiego. Dodatek do numeru 264 Dzien. Polsk.

Wszystkie te brudy wywleczono na jaw, — zużycie sił intelektualnych redaktora, a może też co innego jeszcze, stało się powodem, że dziś Gazeta Nar. pod każdym względem znajduje się w stanie upadku. Chwiejność polityki, łatanina artykułów, którym zbywa na gruntowności i zupełny brak feuilletonów sprawia, że Gaz. Nar. mniejszą ma wartość, aniżeli Dzien. Polski i Gaz. Urzędowa. — Z upadku tego chciano by wprawdzie ratować się, lecz środki niezręcznie obrane, i rzucanie się na osoby niemiłe redakcji lub jéj współpracownikom, wywierają wpływ wręcz przeciwny. — Kilkakrotnie już była mowa o przedaży Gazety Nar. zwłaszcza, gdy jéj obecny właściciel rzucił się do przedsiębiorstwa teatralnego, lecz jakoś nie przyszła do skutku ta zresztą pożądana zmiana w osobie właściciela.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Pan prof. Szafarkiewicz nadesłał nam poniżéj umieszczone pismo, a że ono do pożądanego prowadzi nas celu, chętnie go podajemy naszym czytelnikom i tuszymy sobie, że to nie będzie czczą pogróżką:

Do Szan. Redakcji Tygodn. Wielkopolskiego.

Poznań dnia 16 lipca 1874.

Na artykuły oszczercze w numerach 25 i 27 Tygodnika Wielkopolskiego wydrukowane, odpowiadam, iż rzecz tę oddałem w ręce prokuratorji.

Proszę o wydrukowanie niniejszéj méj odpowiedzi stósownie do przepisów § 26 prawa prasowego z dnia 12 maja 1851 r. w najbliższym numerze Tygodnika Wielkopolskiego.

Prof. Szafarkiewicz.

Co się zaś tyczy wyrażenia „oszczercze artykuły“, to po procesie, da Bóg go doczekać, — rozprawimy się o to z p. ex-profesorem.

* * *

— **O parallaxie.** „Kraj“ w Nr. 156 zaczepia nas zapytaniem: „Która to encyklopedja podobną definicję parallaxy podaje, ażebyśmy przestrzedz mogli publiczność przed jéj używaniem.

Otóż n. p. Meyer'a Conversations-Lexikon. Tom XII; Meyer's Handlexikon str. 1211: „Parallaxe, die veränderung in dem scheinbaren ort eines gegenstandes, wenn man letzteren von zwei verschiedenen beobachtungspunkten aus betrachtet.“ (Zmiana pozorowa miejsca przedmiotu, gdy się na tenże z dwóch różnych miejsc przez punkt patrzy, zowie się parallaxą). W Revue des Deux Mondes mają astronomowie „Gazety Narodowéj“ i „Kraju“ to samo objaśnienie na str. 435. „On appelle d'une manière générale parallaxe, c'est à dire difference d'aspect, l'écart entre les positions apparentes d'un objet visé de deux points de vue differents; la parallaxe est donc l'angle formé par les deux rayons visuels, qui aboutissent au même point. „Supposons deux observateurs placés en deux stations convenablement choisies et visant le sommet d'un arbre éloigné ils le verront dans deux directions d'autant plus differentes que la distance qui les separe l'un de l'autre sera plus considerable; en rapportant la position de l'arbre à celle d'une tour qui se dessine à l'horizon, ils le verront par exemple l'un à gauche, l'antre à droite de la tour. La difference des deux directions observe'es (azatém pozorne oddalenie tych punktów) sera la parallaxe de l'arbre.“

Zresztą odsyłamy do „Astronomji popularnéj“ X. A. Putiatyckiego str. 218, 219.

Co naszych krytyków myli zapewne t. j. że bałamucą się tak zwaną parallaxą wysokości (Hohenparallaxe), która jest stałą, obliczoną na $8''_{55}$, jako promień ziemi naszéj objęty kątem wierzchołkującym w środku słonecznéj tarczy, a któréj używamy do oznaczenia szerokości geografijnéj miejsc na ziemi (zob. Der Ingenieur v. D. Weissbach, str. 262), ale któréj nie można stósować do obliczania parallaxy na wieży projektowanéj wierzchołkiem drzewa, jak n. p. mówi R. Radau w przytoczonym ustępie z Revue des Deux Mondes.

Dodamy jeszcze, że nasz artykuł o przejściu Wenery przez słońce, czerpany przeważnie z „Rivista Italiana“ fasc. II, 1874, str. 209—219, Giovanni Celobia i z R. d. D. M. pana R. Radau, I, 434—449, 1874, 2 livr, — a obrobiony samoistnie.

W. hr. Chotomski.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Jedyny skład w Poznaniu w księgarni K. Rejznera (Chotomski).